

POBUDKA

*Mężczyzna staje twarzą w twarz
z samym sobą*

*A zwłaszcza rozumieście chwilę obecną:
teraz nadeszła dla was godzina powstania ze
snu...
Noc się posunęła, a przybliżył się dzień...
przyobleczmy się w zbroję światła!*

Rz 13, 11–12¹

¹ O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallotinum (przyp. tłum.).

Ile razy mężczyzna może usłyszeć głos wzywający do pobudki i nie obudzić się? Przypuszczam, że niektórzy nigdy się nie budzą. I prawie tak samo było ze mną.

Doświadczyłem w moim życiu dwóch poważnych pobudek, w sytuacjach gdy stałem na rozdrożach życia. Żadna z nich nie była łagodnym dzwonkiem budzika. Przypominały raczej silny cios deską w tył czaszki. Ale sądzę, że można by powiedzieć, iż zanim się w końcu obudziłem, dwa razy wyłączyłem dzwonek.

Pierwsza pobudka miała miejsce w gorączce i trwode wojny wietnamskiej. Służyłem w V Grupie Sił Specjalnych. Człowiek, który zajmował to stanowisko przede mną, stanął przed sądem wojennym wraz z pięcioma innymi oficerami Zielonych Beretów za domniemane przekroczenie kilku ustanowionych przez siebie zasad – w tym zamordowanie potrójnego agenta. Zajmowałem w grupie stanowisko oficera operacyjnego wywiadu. Było to pod wieloma względami wspaniałe stanowisko. Strefą działań bojowych Zielonych Beretów był cały kraj. Byłem odpowiedzialny za przekazywanie „Staremu” – pułkownikowi „Żelaznemu Mike’owi” Healy – informacji o ruchach wroga wokół naszych obozów od delty na południu po strefę zdemilitaryzowaną na północy. Bardzo niewielu młodych kapitanów miało taki wgląd w cały kraj, jak ja. Bardzo niewielu mogło mieć do dyspozycji samolot na żądanie. To uderzało do głowy dwudziestopięciolatkowi z Yakimy w stanie Washington.

Jedno z naszych zadań wiązało się z lotami maszynami SLAR – helikopterami Huey wyposażonymi w radar obserwacji bocznej. Wykorzystywano je do śledzenia ruchów wojsk nieprzyjacielskich i latały niemal codziennie. Kilku z nas, oficerów, odbywało loty na zmianę. Kiedyś, gdy przypadł mój dzień bez lotu, helikopter spadł i jeden

z kolegów zginął. Gdy wiadomość została potwierdzona, w sztabie zapanowała głucha cisza.

Byliśmy wszyscy wściekli. Mieliśmy mdłości. Byliśmy przygnębieni. Zmartwieni, że zginął. Zadowoleni, że to nie my.

Jakoś tak się złożyło, że to ja musiałem pozbierać jego rzeczy osobiste i przygotować je do odesłania żonie. Takie zajęcia sprawiają, że człowiek zaczyna trochę myśleć. Kiedy opróżniałem jego szafkę, dotarło do mnie, że on już nigdy nie zobaczy swojej żony. Nigdy nie będzie mógł jej powiedzieć „przepraszam”. Przez moment poczułem ukłucie niemiłej myśli – jakby dotknięcie czubka ostrego noża przecinającego skórę. Zdałem sobie sprawę, że żyłem według „filozofii drugiej szansy”. Zawsze mówiłem sobie: *No cóż, nawet jeśli dziś zraniłem Lindę, to zawsze jest kolejny dzień. Jutro będzie lepiej.*

A teraz już nie było jutra dla mojego kolegi.

Przez głowę przemknęła mi myśl: *OK, Stu. To mogłeś być ty. No i co by wtedy było?*

Odrzuciłem tę myśl. Takie rzeczy zdarzały się innym ludziom. Spadały helikoptery, którymi latali inni. Inni umierali. Nie ja. Tak naprawdę to tylko opóźniałem moje przebudzenie, odpychałem je. Dzwonek dzwonił, ale nie chciałem go usłyszeć. Nacisnąłem guzik wyłączający alarm i zablokowałem umysł.

Jednak po jakimś czasie budzik znowu zadzwonił.

Głośniej. O wiele głośniej.

Zaczęło się, kiedy byłem w powietrzu.

Właśnie wyskoczyłem z samolotu wraz z oficerem z II Korpusu. Oficerowie często skaczą, aby wskazać kierunek wiatru – pilot widzi, gdzie lądują, i może dopasować się do wiatru i strefy zrzutu. Dzięki temu pozostali skoczko- wie wylądują tam, gdzie powinni.

Ja skakałem z prawej strony samolotu, mój partner z lewej. Jednak tak się dziwnie złożyło, że znaleźliśmy się pod samolotem razem, pierś w pierś. Instynktownie zareagowaliśmy tak, jak nas uczono – odepchnęliśmy się od siebie jak marionetki tańczące na sznurkach. Odsunęliśmy się od siebie, ale jego spadochron znalazł się pode mną i wylądowałem na rozwiniętej czaszy. Tworzyła ona próżnię uniemożliwiającą rozwinięcie się mojego spadochronu. Tak jak uczono nas podczas treningów, zacząłem biegać i skakać po tym spadochronie, próbując się uwolnić.

Ale to nie pomagało.

Próbowałem znowu. Nadal nie pomagało.

Wylądował ze mną na czaszy spadochronu. Materiał owinał się wokół mnie i lądowałem na ślepo. Mocno się potłukłem, ale przyływ adrenaliny stłumił ból, więc udało nam się pozbiierać spadochrony, schować je w krzakach i zaczekać na resztę zespołu. Właściwie nic mi nie było, ale czułem się trochę dziwnie. Coś mi dokuczało w klatce piersiowej.

W ciągu kilku następnych tygodni byłem kilkakrotnie przenoszony: z pola walki do ambulatorium, potem do drugiego ambulatorium, wreszcie do szpitala w Cam Ranh Bay. Lekarze próbowali znaleźć powód tego urazu. Musi być jakaś przyczyna tego, że coś się dzieje z mostkiem. Najbardziej prawdopodobny powód? Nowotwór.

Co? Uratowany ze spartaczzonego skoku spadochronowego, aby umrzeć na raka? Jak to się mogło stać? Jak to możliwe?

Tam, w szpitalu w Cam Ranh, samotny, przerażony i pełen tęsknoty za domem byłem jeszcze raz zmuszony pomyśleć o śmierci. Mojej śmierci. Wydawało mi się, że byłem jej bliższy niż kiedykolwiek wcześniej.

Jak się okazało, nie było żadnego nowotworu. Jedynie lekko uszkodzony i bardzo roztrzęsiony żołnierz. Wyzdro-

wiałem i – jak poprzednio – odepchnąłem na bok wszelkie myśli na temat moralności, po czym wróciłem do swoich obowiązków.

Jeszcze jedno wyłączenie budzika.

Otrzymałem dwie szanse, by zareagować na pobudkę. O dwie więcej, niż na to zasługiwałem. O dwie więcej niż wielu moich kolegów. Ale Bóg był łaskawy i dał mi jeszcze jedną szansę.

To było wiosną. Na wzgórzu. Byliśmy w Dak Pek, na północnym krańcu doliny Dak Poko na Wyżynie Centralnej. Wcisnąłem twarz w błotnisty skraj niewielkiego okopu wyznaczającego granice obozu Sił Specjalnych.

Coś nadchodziło. Coś wielkiego. I wiedzieliśmy o tym. Wszystkie sygnały wskazywały na to. Odbieraliśmy je od wielu dni – częstsze nieprzyjazne kontakty miejscowych z naszymi patrolami, zwiększony ruch w eterze (a w NVA – Armii Północnego Wietnamu – takie radia mieli tylko najważniejsi) i gwałtowny napływ informacji wywiadu taktycznego. Nawet „siatki agentów” zaczęły dostarczać o wiele więcej informacji niż zazwyczaj.

Oni już tam byli. A my byliśmy celem. Rozbicie obozu Sił Specjalnych było pożądanym trofeum dla każdej grubej ryby z NVA.

To oczekiwanie nie było przyjemne. W pewien sposób było czymś niemal tak samo przerażającym jak samo przeżywanie ataku. Świadomość, że tak blisko, na granicy obozu, było kilka kompanii szturmowych regularnej armii wietnamskiej – czekających na odpowiedni moment, by wybiec z wrzaskiem z lasu – zamieniała życie w koszmar. Tam, w tym błotnistym rowie, drżąc z lęku i zagrożenia bezpośrednią walką, wreszcie usłyszałem pobudkę. Stałem wreszcie twarzą w twarz z możliwością, że nigdy już nie wrócę do domu. Stawiłem wreszcie czoła faktowi,

że mogę nie pokonać przeciwności. Moje życie może się zakończyć tu, z dala od domu. Może być tak, że to już nie „ktoś inny” opuści tę dolinę zaszyty w worek. Może być tak, że to już nie „ktoś inny” wróci do domu w srebrnej trumnie owiniętej flagą.

Mogłem zginąć. Za parę godzin. Minut. Sekund. Kiedy zmagalem się z tymi myślami, gdzieś z głębi umysłu przebiło się na powierzchnię konkretne pytanie. Tliło się w głębi duszy przez długi czas i teraz zapłonęło jasnym płomieniem.

Co się liczy? Co się tak naprawdę liczy?

Gdyby młody kapitan Stuart K. Weber zginął w dolinie Dak Poko, co by pozostało po ćwierćwieczu jego życia? Jaki w ogóle jest sens życia?

Odwołano mnie do Nha Trang, wyleciałem z Dak Pek helikopterem i ominęła mnie najstraszniejsza bitwa. Nasz niewielki obóz został praktycznie starty z powierzchni ziemi. W końcu oblężenie minęło i NVA wycofała się, aby lizać rany. Nasi chłopcy załadowali rannych, pozbiali zabitych i zaczęli budować obóz od nowa. Jakoś, z jakiegoś powodu otrzymałem jeszcze jedną szansę, by się obudzić i otworzyć oczy.

I tym razem to zrobiłem. Zaczęłem zastanawiać się nad swoim życiem.

Wróciłem ponownie do swoich obowiązków, ale już nigdy nie byłem tym samym człowiekiem. Duchowe ziarno zasiane w dzieciństwie i porzucone na długi w społecznym i intelektualnym zamęciu lat sześćdziesiątych, zaczęło kiełkować w moim sercu. Wiara mojego ojca i dziadka zaczęła zapuszczać korzenie w moją duszę. Zrozumiałem, że Jezus Chrystus był dokładnie Tym, za Kogo się podawał. On stał się dla mnie Kimś bardzo rzeczywistym. I od tego dnia zmieniło się moje życie.

Po jakichś piętnastu latach małżeństwa z Lindą doświadczyłem drugiej zmieniającej życie pobudki. Nie była wcale mniej szokująca od tej poprzedniej. Kolejne uderzenie dechą. Tym razem nie spadło z góry jak bomba, ale było równie niespodziewane. Wyjrzało z oczu Lindy. Po raz pierwszy odkąd byliśmy razem, zobaczyłem w nich gniew. Wielki gniew. Gorący gniew. To nie pasowało do Lindy. I dlatego było takie wyraźne.

Było dla mnie całkowicie jasne – nastąpią pewne zmiany w naszym związku lub też nasz związek zmieni się. Nigdy nie będzie już tak samo.

Poznaliśmy się z Lindą jako dzieci. Grała na trzeciej bazie w drużynie softballu (kobiecej formy baseballu) ósmoklasistek. Wraz z kumplami z drugiej klasy szkoły średniej pilnie obserwowaliśmy ich grę, powodowani nie tylko ogromnym zamiłowaniem do baseballu. Podczas meczu na trzecią bazę leciała silna piłka. Linda zgrabnie ją wyłapała i jednym płynnym ruchem przebiła na pierwszą bazę. Byłem zaszokowany. Ona „nie rzucała jak dziewczyna”. Piłka nie leciała łukiem. Zmierzała płasko nad boiskiem. *Super*. To zrobiło na mnie wrażenie. Chciałem poznać dziewczynę, która umiała tak grać.

Dwa dni później zobaczyłem ją w kolorowej spódniczce, wyglądała jak uosobienie kobiecości. Teraz już naprawdę chciałem ją poznać.

Po trzech latach szkoły średniej, czterech latach college’u, urodzeniu trzech synów i dwudziestu pięciu latach małżeństwa nadal jesteśmy razem. I mam wrażenie, że w pewien zabawny sposób nadal konkurujemy ze sobą.

Oboje z Lindą jesteśmy przekonani, że jeżeli nasze małżeństwo może być pełne treści, to jest to możliwe dla

każdego. Oboje jesteśmy pierwotnymi dziećmi naszych rodziców. Oboje mamy agresywną osobowość i z natury dążymy do rywalizacji. Ona wzrastała w rodzinie dysfunkcyjnej i podświadomie założyła, że nie pozwoli, aby jakkolwiek mężczyzna nad nią dominował. Ja w młodości nie czułem się pewnie w relacji z matką i podświadomie zdecydowałem, że już nie dam się zmanipulować żadnej kobiecie. Dziś jesteśmy ponad tymi sprawami. Ale w początkach naszego małżeństwa bezwiednie pędziliśmy w kierunku przepaści.

Gdy po piętnastu latach spojrzałem w błyszczące gniewem oczy mojej żony, zacząłem rozumieć kilka spraw. Pojąłem, że brałem nasz związek za pewnik. Spoglądając wstecz, uświadomiłem sobie, że traktowałem ją raczej jako trofeum – zdobyte i ustawione na półce – a nie jako towarzyszkę życia. Raczej jako partnera zawartego kontraktu, a nie przyjaciela, z którym mogę podzielić się tym, co dzieje się w moim wnętrzu. Pewne sygnały pojawiały się już wcześniej, ale ich nie zauważyłem. Typowy facet. Ale tym razem filozofia „drugiej szansy” skończyła się. Oboje z Lindą zaczęliśmy odkrywać siebie na nowo. Nadal to robimy.

Ale jak to się stało, że wpadliśmy w takie bagno? Dlaczego nasze małżeństwo w pierwszych latach ukształtowało się jako pole walki, a nie wspólnota? Miało to wiele wspólnego z moją męskością – czy raczej jej brakiem. Zrozumienie, w jaki sposób Bóg ukształtował mnie jako mężczyznę, pomogło nam wzrastać jako małżeństwu.

I ta książka jest właśnie o męskości. Męskość – prawdziwa, stworzona przez Boga, męskość oparta na solidnym fundamencie – z jej zrozumieniem mężczyźni w naszej kulturze mają poważne kłopoty. Twardy? Wrażliwy? Silny? Czuły? Gwałtowny? Przyjacielski? Jacy mamy być?

Jesteśmy sfrustrowani. Często zdezorientowani. Czasami drażliwi. Ale zdecydowani. Zdecydowani odkryć naszą męskość i w pełni nią żyć.

Aby tego dokonać, musimy najpierw spojrzeć prosto w oczy pomieszanemu pojęciu, jakie niesie nasza kultura. Musimy popatrzeć na siebie i stawić czoła paru rzeczom. Musimy ocenić, co naprawdę liczy się w życiu i solidnie powalczyć z pewnymi trudnymi sprawami. Być może już doświadczyłeś w swoim życiu kilku pobudek.

Leżenie w szpitalu z rozdzierającym bólem w piersi, zapłatanie w spadochron kumpla, słuchanie gwizdu nadlatujących pocisków czy spojrzenie w rozwścieczone oczy jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochałeś – to z pewnością może otworzyć człowiekowi oczy.

Ale jest szansa, że nie potrzebujesz aż takich silnych pobudek, jakie były konieczne, by mnie wyrwać ze snu. Nasz łaskawy Bóg mógł nawet zdecydować, że skorzysta z książki takiej jak ta, aby dokonać w twoim życiu tego samego, bez urazu, szoku i przerażenia.

A więc uznajmy, że to jest twoja pierwsza pobudka. Przed nami cały dzień, daleka droga i obfite pokłady zachęty oczekujące na wydobywanie.

A więc naprzód, wrażliwy wojowniku.

DOTKNAĆ TEGO, CO NAJISTOTNIEJSZE

Mężczyzna staje twarzą w twarz z samym sobą

1. Usiądź na jakieś pół godziny nad kartką papieru i weź coś do pisania. Zastanów się, jakie są najważniejsze dziedziny Twojego życia – małżeństwo, ojcostwo, kościół, praca, koledzy... Odpowiedz sobie jak najszczerzej na pytanie, czy nie jest ci potrzebna pobud-

ka w którejś z tych dziedzin życia? Zapisz wszelkie problemy i zanotuj jedną czy dwie rzeczy, które postarasz się zrobić w ciągu tygodnia.

2. Dla odważnych: Poproś żonę, aby przeczytała pierwszy rozdział tej książki, a potem powiedz: „Kochanie, gdybyś miała wymienić jedną dziedzinę życia, w której potrzebna mi jest pobudka, to co byś powiedziała?”

Mężczyzna spotyka się z przyjaciółmi

1. Czym jest ta „pobudka”? Czy pobudki opisane w tym rozdziale to częsty problem u innych mężczyzn? Dlaczego?
2. Czy kiedykolwiek doświadczyłeś podobnej pobudki? Jak zareagowałeś? Co zrobiłeś?
3. Sednem poważnych pobudek jest pytanie: „Co tak naprawdę jest ważne?” A co jest tak naprawdę ważne dla ciebie? W jaki sposób okazujesz, jak to jest dla ciebie ważne?
4. Co chciałbyś osiągnąć w życiu? Jakie słowa chciałbyś zobaczyć w swoim nekrologu? Co teraz robisz, aby taki napis mógł się na nim pojawić?
5. Czy sądzisz, że potrzebna ci jest pobudka? Jeżeli tak, to w jakiej (jakich) dziedzinie (dziedzinach)? Jeżeli odpowiadasz „nie” – czy twoja żona zgodziłaby się z tą odpowiedzią?
6. Jak twoi najbliżsi przyjaciele opisują „męskość”? A twoi współpracownicy? Twój szef? Twój duszpasterz?
7. Czy zgadzasz się z następującym zdaniem: „Dziś trudniej jest mężczyźnie być prawdziwym mężczyzną, niż kobiecie być prawdziwą kobietą”? Dlaczego?
8. Zanim przeczytasz resztę książki, napisz, co Twoim zdaniem znaczy być „męskim mężczyzną”.